

Władysław Miglin



Urodziłem się 10 kwietnia 1931r. w Wilnie. Ojciec żołnierz zawodowy Wojska Polskiego wstąpił do wojska jako legionista, mając siedemnaście lat. Przeżył tamtą wojnę, był w niewoli rosyjskiej w Murmańsku. Właśnie, gdy jeszcze był w wojsku, ja się urodziłem. A to było nawet ciekawe. Urodziłem się wtedy, gdy w Wilnie był potop i ojciec wyjeżdżał do szpitala pontonem wojskowym.

W 1938r. ojciec porzucił wojsko i zdawał egzamin na kolej i musiał jako staż odbyć pracę na poczcie w Drui. To była granica polsko-łotewska. Jeden rok miał tam pracować i tam właśnie przenieśliśmy się. Tam zaskoczyła nas wojna. Wpierw był mobilizowany, potem cofnięta była mobilizacja. No i doczekaliśmy się. Gdy przechodziły wojska rosyjskie na nasz teren, to polecenie odgórne było: cała Poczta, z całymi rodzinami... Poczta, Milicja, Banki - były to przedsiębiorstwa państwowe szczególne - miały przekroczyć granicę łotewską, przepłynąć Dźwinę. Latem jak kąpaliśmy się to często podpływaliśmy na tamtą stronę, to nie była aż tak szeroka rzeka. No to przepłyneliśmy. W ciągu paru godzin spakowaliśmy się. Przyjechaliśmy. Potem okazało się, że połowa rzeczy jest zbędna, a te co potrzebne były to wogóle nie wzięte. Tam parę dni trzymali nas jako tych co niejako przekroczyli granicę. Ani nas internowali, ani nic. Potem nas internowano, od razu przewieziono do Dyneburga, czyli Dwirńska a potem przewieźli nas do pobliskich miejscowości wczasowych: Majorka, Lubow i Riałonowy, nie-Dubylki, tam właśnie byliśmy w obozie. Ale to nie był obóz, taka miejscowość kolonijna, wczasowa. Domki były, stołówki, to było wczasowisko. I tam przebywaliśmy. Jeść dawali, pić dawali ale pieniążków nie było. Jeśli chciało się coś kupić, trzeba było gdzieś dorobić. To przejściowo, gdy jesień była to chodzili do sadów zbierać owoce. To się skończyło, bo nastąpiła zima. Szukali dorywczych prac, ale gorzej z tym było. Wtedy ojciec odnalazł i napisał do bardzo dalekiego krewnego. To jest wielka historia. To był Romer. Jego matka a raczej żona to Anna Romer słynna artystka-malarka. On bardzo bogaty, i w Hamburgu, i Gdyni dom miał; w Łotwie majątek był Janopol, 6 km od Rzeżycy (Rezetre inaczej). No i dowiedział się, to szybko nas ściągnął i zostaliśmy. Wpierw jako goście, potem ojciec mówi: "Nie będziemy siedzieć i jeść chleba".

"No to bądź gospodarzem, ja wyjeżdżam".

I ojciec został gospodarzem tego majątku. I tak gospodarzyliśmy aż Rosja znowu nie wzięła Łotwę, Litwę i wszystkie inne miejscowości. Znowu byliśmy pod "Rosyjskiem". Majątek został zlikwidowany, bo ma się rozumieć, wszystko pozabierano: konie, nie konie, krowy, nie krowy. Wszystko było zabrane. Bo jakto "pomieszczyk"? 50ha miało gospodarstwo. Kiedyś ten majątek miał ponad 6 tys. ha. Tylko, że na Łotwie tak jak w Polsce zaczęli wielkie majątki rozdzielać dla ludzi. Przecież wykupne, ale też z wykupem, państwo wykupowało. Z tych 6 tys. zostało tylko 50 ha. Ziemi ornej nie było dużo, raczej sam park, piękny, ładny park - 4.5 ha, 7 ha starego sadu, 2.5 ha młodego sadu, no a zabudowania jak kiedyś wielkiego majątku to jeszcze były.

Tak gospodarowaliśmy, ojciec wojskowy, mama nie miała nigdy nic z rolnictwem wspólnego.

W czasie już okupacji niemieckiej gospodarowaliśmy normalnie w majątku. Nauczyliśmy się kosić, orać, siać-wszystko robić. Nauczyłem się tego, co każdy wiejski chłopak zna, każdy z nas już to znał. Tak przetrzymaliśmy jakoś okupację niemiecką.

Po przyjsciu w 44r. znowu wojska rosyjskiego, w lutym 1945 r. aresztowano ojca.

-Za co?

Najprostrze było aresztowanie za pracę dla Niemców, przecież majątek dalej był gospodarowany, a więc pod czyim był (zarządem)-niemieckim, a więc praca dla Niemców. A przecież zboże i nie zboże wszystko trzeba było oddać, więc oddawało się. Przyczynę bardzo łatwo znaleźli. Dostał, chociaż nie mogłem nigdy zrozumieć, bo dostał 58 IIB a "B" to wojskowe. Nie wiem, czy zaliczyli przedwojenne czasy, to że był wojskowym. Nic z wojskiem nie miał wspólnego. Dlaczego dostał IIB, to nie wiem. Na 5 lat sądzony, przebywał w obozie koło Archangielska, miejscowość ^{Molotowsk} ~~Moldest~~.

Gdy zabrali ojca, my przerzuciliśmy się cichaczem porzucając majątek, porzucając to wszystko. Z majątku już tak byliśmy dawno wysiedleni, mieszkaliśmy tam prywatnie. Pojechaliśmy z powrotem do Wilna. Tam zamieszkaliśmy u znajomych, ale spóźniliśmy się na repatriację. Przyjechaliśmy tam już w 1946 r., chyba miesiąc-tyle się spóźniliśmy i już nie mogliśmy tego załatwić. Tym bardziej, że nie mieliśmy żadnych dokumentów, z tamąd przyjechaliśmy nielegalnie. W nocy, z kolejarzem dogadana sprawa była, przyjechaliśmy do Wilna pociągiem towarowym, pod plombą, żeby nikt nie wiedział. Trzeba było załatwić dokumenty, jak były załatwione to spóźniliśmy się z odjazdem. Chociaż nie wiem, czy mama zgodziłaby się zostawić męża i wyjechać. Jednak 5 lat to nie był taki duży okres. W 50 r. miał wrócić. Ostatni list, który otrzymaliśmy, to pisał w nim: "Gdy wy otrzymacie list to mi zostanie 77 dni i znowu się zobaczymy". To był ostatni list. Na Boże Narodzenie wysłaliśmy paczkę. Paczka wróciła. Wysłaliśmy telegram-nie było żadnej odpowiedzi. Adresat był. Do dzisiejszego dnia nie wiem, czy żyje czy nie, gdzie się podział. Po prostu normalne zjawisko, że po odsiedzeniu jednego wyroku dostawało się drugi wyrok, potem trzeci, żeby mało nie było. Później, jak ja już byłem w obozie, to spotkałem się z ludźmi, którzy siedzieli z ojcem. Ale o tym opowiem później. Teraz o moich sprawach.

Uczeń-Polak, zawsze szalona "pała", lubiłem życie aktywne. Nigdy nie mogłem się pogodzić, że ojciec zginął, że Polacy w Wilnie nie mieli nic do gadania-Litwa tylko i Rosja.

Mieliśmy tylko jedno gimnazjum, szkołę też. Nauczycieli było mało, bo większość wyjechała do Polski. Warunki nauki były coraz to trudniejsze. Kłopoty miałem na przykład z językami. Tak się złożyło, że gdy byłem mały, to ojciec uczył mnie języka francuskiego, potem uczyłem się rosyjskiego, potem niemieckiego, znowu rosyjskiego, na Łotwie uczyłem się łotewskiego. Potem, gdy wróciłem nie można było w szkole uczyć niemieckiego, więc uczyłem się angielskiego. No, litewski a w dodatku greka i w jakimś krótkim czasie nawet łacina. Mętlik w głowie, lepszego nie trzeba było. W tym właśnie musieliśmy dawać jakiś opór, i Litwinom. Dlatego, żeby organizować polskość na tych terenach.

Spotkałem się wtedy z kilkoma starszymi osobami. Nie znam ich nazwisk, bo przedstawiali się takimi nazwiskami, które były na dzisiejszy dzień, a na jutro było już inne-więc nie znam ich.

Zaproponowano mi, bo mam takie sposobności i możliwości, żebym organizował grupę, która by mogła przydać się w późniejszych czasach, gdyby Pogoń wróciła do Polski. Szczególnie, żeby można było czuć polskość na tych terenach. Zresztą, to było nasze jedyne gimnazjum, a jako Polaków dobrze nas znano. (Uczestniczyliśmy) tak w sporcie jak i w życiu społecznym. Organizowaliśmy teatry, występowaliśmy normalnie w nich, dawaliśmy ciekawe programy. Jako Polacy trzymaliśmy się bardzo dobrze, ale nie wszystkim to się podobało.

W tym czasie zajmłem się strzelectwem, sportowo. Miałem bardzo dobre wyniki. Miałem dojscie do broni, a o to chodziło. Mogłem dodatkowo przeszkalać ludzi, których ja chciałem przeszkolić, w domu. I tak właśnie stworzyła się grupa, która była dosyć dobrze przeszkolona i przyuczona. Aż doszło do tego, że jeden z mojej klasy, szkoły doniósł na nas. W szkole już wtedy nie byłem. Musiałem zrezygnować ze szkoły i poszedłem do pracy, ale ze szkołą nie straciłem styczności, gdyż koleżanki, koledzy nadal pozostali.

Doniósł na mnie, że tworzymy pewną organizację. Jaką, to dokładnie nie wie, broń mamy a ja cały czas agituję przeciwko komunistom, komsomołom, nie komsomołom. Skorzystano widać z tego donosu, bo dowiedziałem się później, że byłem cały czas pod obserwacją dosyć ścisłą, ale nie mieli czego uchwycić się. Ale podstawą był donos i aresztowali mnie.

-Czy była to grupa samodzielna, czy w ramach pewnej organizacji?

Była to w zasadzie samodzielna grupa. Tylko, że takich grup nawet na terenie naszego gimnazjum było kilka, każda miała pewne cele, organizowane były przez inne osoby, które oficjalnie nic nie robiły, tylko doradzały. Opór trzeba było dawać, żeby nie wynarodowić. Do dzisiaj, ludzie, którzy tam zostali wierzą, że Wilno będzie polskie, że wrócimy do Wilna. Tego bym sobie bardzo życzył. Aresztowali mnie na ulicy z "ładną" obstawą: dwóch z przodu, dwóch z tyłu, a chodnik był wąski, bo dom wystawał a od jezdni samochód stał, ani w lewo, ani w prawo nie mogłem się wyrwać. Przywieziono mnie. Po paru dobrych godzinach pytań, kiedy zaprzeczałem wszystkiemu, bo musiałem wiedzieć na czym stoję; jest zasada, że im dłużej nie odpowiadam na pytania to ci, z którymi ja współpracowałem mieli szansę wszystko zlikwidować i schować. Wszyscy byli tak dobrze poinformowani, bo następnego dnia wiedzieli, że siedzę. Po kilku dniach aresztu dowiedziałem się, że w szkole strajk podnieśli, żeby mnie wypuszczono, że niewinny. Jeden powiedział mi w tajemnicy: "Pan miał za dużo przyjaciół", powiedział właśnie, że strajkowali. Czytałem nawet ten donos na mnie, bo postanowiłem dowiedzieć się, dlaczego mnie aresztowali. Mówili, żebym podał nazwiska przyjaciół, to podawałem nazwiska takich ludzi, którzy nie byli moimi najbliższymi przyjaciółmi. Szukałem szczególnie takich, na których ja miałem "oko", żeby pilnować, którzy byli niepewni. Podałem, że najleprzym przyjacielem jest ten, który na mnie doniósł. Nie chcę mówić nazwiska, bo jest teraz tutaj w Warszawie, nadal trudni się donosicielstwem. On napisał donos do MGB, a jest zwyczaj taki, że jak MGB miało kogoś takiego co doniósł to już nie puścili. Przez całe życie musiał współpracować z MGB. No teraz zdaje się nie ma MGB. Dzieci szkolą się w Moskwie. Już oderwać się nie mogą. To jest normalny system, gdyby został aresztowany pod jakimś innym zarzutem w obozie musiałyby pracować jako donosiciele. Raz na zawsze

wpadali. Mało komu udało się "urwać", znaleźć tyle charakteru, żeby później wycofać się z tego, bo cały czas był szantażowany i zostawał na stałe ~~i zostawał na stałe~~.

Tak zostałem aresztowany przez MGB. Po kilku dniach przepytano, na drugi czy trzeci dzień, wezwano mnie do pułkownika MGB. Przyszedłem, wielka sala konferencyjna, pułkownik siedzi, mnie krzesło przed nim postawiono. Naokoło tego pokoju naliczyłem 34 oficerów. Takiego wielkiego przestępcę złapali! To patrzeć trzeba. Jak się obejrzałem, to się uśmiechnąłem - to byli moi uczniowie, ja ich szkoliłem w strzelectwie. Większość znała mnie i ja ich znałem, przecież należałem do kadry. Do obowiązków należało szkolenie. Tylko, że nie byli w mundurach a w cywilu. Nie wiedziało się kogo się szkoli, okazało się, że własnych wrogów dobrze szkoliłem. Z taką obstawą na ulicy mnie aresztowali: dlaczego nie w domu? "A, proszę Pana, my się bali". "A czego się baliście?" "Pan za dobrze strzela". A wiedzieli, że zawsze z bronią chodziłem, gdy miałem pistolet, to nie było bezpiecznie podchodzić w zakresie 100m.

Śledztwo miałem spokojne. Prowadził sam naczelnik oddziału, był starszym lejtnantem, Płatonow Borys Michajłowicz. Podlegali mu jako starszemu lejtnantowi kapitanowie, majorowie. Jakiś zasłużony był, w tym czasie kończył uniwersytet. Starał się mnie raczej wziąć na inteligencję, niż na zastraszenie. Jak dowiadywałem się później, MGB obchodziła się dosyć uczciwie z tymi, których aresztowała, gorzej MWD, tam zawsze część zębów musiał zostawić, część zdrowia. Uważano, że przesłuchanie nie jest przesłuchaniem, jeśli nie był bity. Ale tutaj było na poziomie.

-Czy mógłby Pan bliżej wyjaśnić różnicę między tymi dwoma instytucjami?

Ministerstwo Gasudarstwiennoj Biezapastnosti, czyli jak u nas UB, a nawet wyżej, jak kiedyś w Polsce kontrwywiad. UB to Ministerstwo Wn^{ien}trzych Dzieł - Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Stwarzało oficerów, wiadomo jak to było, nie potrzeba było szkoły. Zresztą ja sam byłem pp oficerem i to nawet starszego lejtnanta miałem, o czym dowiedziałem się w czasie sądu. Miałem właśnie wyjechać do Nych^(?) jako szkoleniowcy i sportowcy. Musieliśmy przeprowadzić szkolenie, co nas obowiązywało, dlatego byliśmy zaliczani jako oficerowie. Tym bardziej, że nie skończyłem średniej szkoły - 10 klas. Po 9-ej klasie rzuciłem szkołę, ale to nie przeszkadzało, wystarczyło siedem klas, żeby zostać oficerem i traktowano mnie jak oficera. Powiadomienie, które przyszło, gdy mnie aresztowano wzywało mnie na trzymiesięczne przeszkolenie, z którego bym wrócił z oficerskim stopniem, bo wszystko miałem zaliczone i brakowało mi tylko dodatkowego politycznego przeszkolenia.

Różnica między MGB a MWD: ~~jakby ten~~, który się leni wziąć do normalnej pracy lub nie umiał niczego, zapisał się do MWD. Chętnie przyjmowali, trzeba było tylko szpiclować, donosić, oskarżać. W MGB musieli mieć pewne wyszkolenie jako wywiad tzn. kontrwywiad, nie trudnili się drobnymi sprawami.

Byłem w tym samym bloku, nie wychodząc przeszedłem na inne piętro. Paragraf jaki dostałem odpowiada 58 IA, to jest od 10 do 25 lat wyroku. Były też inne paragrafy: 58 IA - to jest największy od 10 do 25 lat wyroku; 58 II - to jest mniej więcej 10 lat wyroku minimum; 182 - to za noszenie broni. Tak jak Pan widzi, 25 lat wyroku i 5 lat pozbawienia praw.

(Dokument) przechował się wyjątkowo, choć gruby ^t nadawał się na papierosy, do robienia skretów.

Najtrudniej zdobyć było gazetę. Jeszcze jak byłem w więzieniu nie mieliśmy gazety, nie mieliśmy w czym palić, powiedziałem: "Zaraz będziemy mieli gazetę." "Jak?" "Zostawcie to mnie". Udałem, że ząb mnie boli, że muszę iść do lekarza. Odprowadzili mnie do lekarza, do dętystki. Zauważyłem "ligerę", jaka prasa leży. Trzeba było przecież odczekać swoje. Dwie gazety schowałem za pazuchę, ząb dałem wyrwać, powiedziałem, że ten mnie boli i usunęli ząb - ale miałem dwie gazety. Paliliśmy. Dwie gazety to było dużo papieru, baliśmy się trzymać, bo co jakiś czas kontrolowali cele. Przekazaliśmy do innych cel, w taki sposób, że dawaliśmy sygnały przez ściany i jak szło się do ubikacji to zostawiało się gazetę. Szli następni i zabierali, dzieliliśmy się.

Osądzili w sierpniu czy wrześniu, w październiku czy listopadzie zabrali do Leningradu na punkt przesylny. Przebywaliśmy tam w jednym pokoiku, gdy ja przyjechałem było w nim 119-u a potem zebrało się około 130-u. Któregoś dnia zaczęli sortować, z tego punktu zabrano około 250 osób do pociągu, do "stałygina". Słynne "stałyginy", jedna korzyść, że człowiek nie marzł. Zagęszczenie było niesamowite. Ja dostałem celę, gdzie normalnie powinny być dwie osoby, a nas siedziało wpierw jedenastu, później dziesięciu, jednego zabrali i przerzucili do innego pociągu. Normalnie dwóch leżało na pryczach, reszta siedziała jako tako, jeden siedział na podłodze, jak się dało. Każdy musiał odpocząć. Chyba już w Wołogdzie, nie pamiętam dokładnie, część zabrano, potem chyba w Uchcie. Tak, że do Workuty dojechało nas tylko 52-ch. Było dosyć luźno tzn., chociaż stały luźne cele nie wpuszczano nas do nich, woleli trzymać wszystkich razem. Ogrzewanie było dobre, bo "stałygin" był zaraz za lokomotywą. Jechała cała straż obozowa, dwóch czy trzech oficerów, chyba tyle "ochrony" jechało co nas, nie wiem, w każdym razie byłem zdziwiony, że ich aż tylu jechało. Przecież każda cela to jak karczer, nie było gdzie uciec.

Gdy dojechaliśmy do Workuty zawieźli nas na punkt przesylny, do niedużego baraczkę, ddd

było nas tam około 300-u. Na tym punkcie byli więźniowie, którzy wychodzili, byli kryminaliści, byli i ci, którzy przyjechali dopiero jak my lub których przemieszczano z obozu do obozu. Byli różni. Przyjechałem. Do dzisiejszego dnia nie wiem, czy rano czy nie, bo tam noc. Bo to była przecież pora Bożego Narodzenia. Na obiad wołają - wyszliśmy. Jaka noc. Piękne gwiazdziste niebo. Gwiazdy jakby ręką można było sięgnąć. Zatrzymałem się. Pociąg gdzieś dalej jechał. Tak wyraźnie było słychać jakby obok ciebie jechał. Jeden Polak, przewozili go do innego obozu, myślał, że może go zwolnią bo został mu jeden rok, czy może wiozą go do sądu na nowo. Bo to niewiadomo. "Co pan robisz! Uciekaj pan!" "A to nie można stać?" "Idź pan zobacz na termometr, później będziesz pan stał!". Zdziwiony, przecież nie było takiego mrozu, nie czułem go. Podeszłem do termometru. Okazuje się, że było 54° mrozu. Z tego zaduszkowanego baraku jak człowiek wyszedł (a dosyć ciepło był ubrany gdyż wszystko na sobie miał, żeby nie nosić, na siebie nakładał. Zawsze bezpieczniej; jeśli dostaniesz czymś po grzbiecie, to mniej boli), to wrażenie było niesamowite. Uciekłem szybko do stołówki. Każdy z nas dostał taki odcinek - karteczkę. Wtedy zjadłem dwa lub trzy obiady, bo starsi koledzy dopomagali. Niedługo byliśmy na tym punkcie, może siedem dni, może dziesięć. Przerzucono nas na kopalnię nr 7, jedną z lepszych kopalń, nie pod względem wielkości, ale węgla. Dawała bardzo dobry węgiel. Szedł na zaopatrzenie np. lokomotyw - węgiel z tej kopalni nigdy nie przepadał. Nawet do własnej kotłowni nie można było wziąć węgla z tej kopalni.

Przyjechaliśmy tam i przeszliśmy dwadzieścia jeden dni kwarantanny, wsadzili nas do normalnego baraku. Ilu nas tam było? Tych 52-ch co przyjechało i nowi, z innych punktów przesylnych, których nie znaliśmy. Po dwudziestu jeden dniach przyszła komisja lekarska. Miałem trochę szczęścia, bo koło mojej pryczy postawiono stół przy którym lekarz urzędował, a że byłem dosyć młody, dobrze rozmawiałem po rosyjsku, tak więc, od czasu do czasu wtrącałem swoje "trzy grosze". Zacząłem rozmawiać z lekarką: skąd pochodzę, jak itp. Dzięki temu może, bo wszyscy poszli pracować do kopalni, ja zostałem "łaksekto" ^(?) czyli do roboty pomocniczej: sprzątnięcia, odrzucania śniegu, węgiel jak przywieźli to trzeba było rozładować. Takie tam drobne roboty początkowo w samym obozie, później czyszczenie dróg. A było co czyścić! Tam wiosna zaczyna się w kwietniu, ile lat tam byłem, a byłem sześć lat, to wiosna zaczynała się w kwietniu-topnienie śniegów. W maju wtedy zasypało od nowa, do czerwca trzeba było odsypywać. Ale w kwietniu szła zawsze fala ciepła. To oczyszczaliśmy drogę. Odkopaliśmy dwanaście samochodów zakopanych po dach. Strażnicy ich pilnowali, bo nie wiadomo co było w samochodach. Ja tam nie byłem, ale koledzy byli i mówili, że w jednym samochodzie odkopali dwóch na śmierć zamrzniętych kierowców. Osobiście tego nie widziałem, bo nas raz na drogę rzucali, raz na inne oczyszczanie, rozbijali nas na brygady. Tak wygląda zima. Mówią, że każdej wiosny znajdowali zamrzniętych ludzi. Jeżeli wieje wiatr, człowiek odwraca się trochę bokiem, żeby nie wiało w twarz, wtedy zaczyna błądzić a drogi nie wyczujesz. Zdarzało się, że przy wielkiej wichurze przechodzono przez zonę, a przecież to co najmniej sześć metrów wysoko. Szedł w kółko i wracał z powrotem, nie wiedział nawet, że w innym miejscu wyszedł a w innym miejscu wszedł. To jak goni się zająca, psy się wypuszcza, to nie trzeba biec za nim, trzeba czekać. Pies będzie gonił a on będzie gonił, zając zrobi kółko i wróci. Tak samo z człowiekiem, szedł, szedł i zawsze w kółko wróci. Wyjście za zonę to była śmierć, już nie dlatego, że było ciężko ale po prostu życia tam nie było. Przecież to tundra, 300-400 km do najbliższego lasu-pole i pole, biało i biało. Jak pan helikopterem czy samolotem leci to nikt nie schowa się, z daleka wszystko widać. Ucieczki były, różnie, to zakopywali się w węgiel (to najczęściej) niekiedy udawało się uciec, ale niektórzy zawczasie wychodzili z wagonu, no bo ile mógł z sobą wziąć chleba a tam zimno i chłodno. Nie było prawie możliwości uciec, bo zamknąć tylko kolej i przez tundrę nikt nie przejdzie. A przejść można tylko zimą a wtedy są mrozy, wichury, tzn. ^{puraj} ~~pruga~~, nie do wytrzymania. Przy takiej ^{purdze} ~~purce~~ człowiek był ubrany w ciepłą koszulę, kurtkę, kilka warstw, a jak się rozbierał, to na gołym ciele znajdował śnieg, który przez każdą szczelinę dojdzie. Zamrznąć nie było problemu, bo człowiek nie czuł tego. Rozbiera się, patrzy, a tu na nim śnieg.

-A latem bagno wokół?

A latem bagno i komary. Chcąc kogoś zamordować nie potrzeba było nawet uderzać pałką. Wystarczyło wyprowadzić go gdzieś i kazać przejść przez bagno, nawet nie trzeba go rozbierać - komary i tak zarzną. Oprócz komarów była tak zwana "moszka", jeszcze gorsza. Zostawiała ślady jak pchła, a swędzące to, nie wiadomo było co robić, żeby nie swędziało. Komar jak ugryzie, to tylko bąbel jest, a "moszka" to nie, to będzie swędziało przez tydzień. Później, gdy były już przepustki pojechaliśmy na mszę. Potem mówię: "Po co mam jechać kolejką, pójdę, skrócę drogę". Mówili: "Ale uważaj, to przez tundrę, chociaż trzy kilometry!" Miałem gumowe buty, na wierzchu wsunięte gumowe spodnie, rękawy zapięte - nie powinny nigdzie wejść. Trzeba było

iść brzegiem rzeki, więc szedłem tym brzegiem, który był dosyć wysoki. A tam gdzie wiatr jest, mniej jest "moszki", ale i tak dobrała się do mnie. A jagód ile! Nie wiem, jak się te jagody nazywają, coś w rodzaju naszej pianicy. Furami można było zbierać, a smakowały jak pianice. Pierwszy raz tak zaryzykowałem z kolegą i szliśmy na skrót, później nie chcieliśmy tak chodzić. To było niebezpieczne.

-Wybiegliśmy w przód a skończył Pan chyba przy odśnieżaniu dróg?

Na siódmej kopalni długo nas nie trzymali. W swoich papierach miałem podane, że jestem ślusarz-monter. Przerzucono mnie na budującą się kopalnię czterdziestkę, jako fachowca. W brygadzie montażowej budowaliśmy tę kopalnię. Wszystkie prace montażowe do nas należały. Inżynierowie, mistrzowie to tylko obozowi. Jedynym wolnym człowiekiem był dyrektor, a tak wszyscy zatrudnieni to obozowi. Zresztą inteligencji było sporo. Trzeba było mieć trochę szczęścia, żeby dostać się do tej brygady, gdyż człowiek miał lepsze odżywianie, później dostawało się nawet parę złotych, znaczy rubli, ale to już o wiele, wiele później. Tutaj miało się lepsze warunki, bo z domu też przysyłali pieniądze. Dostawało się w kantorku ileś tam pieniędzy na świstku papieru, szło się do kiosku, sklepiku (zwali go "kłaka"), i kupowało się dodatkowo. Z tego mógł człowiek jakoś wyżyć. Być w dobrej brygadzie to lepiej, bo plan się wykonuje, roboty lepiej płatne i dostawało się lepsze wyżywienie. Bo normalnie były trzy kategorie: najniższa to jak byłem w "łakseko", dostawałem do 450 gram chleba - teraz tyle nie zjadam - to jak teraz trzy plasterki chleba, bo był ciężki jak glina. Tłuszczu nie było. Dostawało się miarkę kaszy i do niej wlewany był tłuszcz. I to tyle tłuszczu, a przy takich mrozach organizm potrzebował tłuszczu. Jak trafiłem do obozu miałem 1.85 m, a jak wychodziłem 1.82 m, a waga spadła do 50 kg. Może pan sobie wyobrazić jak to wyglądało, a człowiek niby jadł. Właśnie o tym jedzeniu. Nawet ciastko, gdyby codziennie musiał jeść to by mu obrzydło, a tam był zwyczaj, że przez sześć miesięcy jedno i to samo się jadło - piure kartoflowe. Muszę wyjaśnić co to jest, bo dla nieznanego to pomyśli, że pyszna rzecz. Nie, to są ziemniaki, które przywiezione na Workutę w "ciepłuszkach", żeby nie zamarzły, rozładowywano w temperaturze minus 25°-30° i wieziono do obozu. Czyli, nim dowieźli już były zamrożone. I znów do "ciepłuszek", takich ziemianek, po tygodniu zaczynały gnić i trzeba było ratować. Wyrzucało się na dwór, żeby zamarzły, żeby zatrzymać gnilną fermentację, a stamtąd już brało się do kuchni, czyściło się. Po ugotowaniu była z tego miazga w kolorze zielonkawo-żółtawym. Nie chcę mówić jakim, ale jak się popatrzyło, to strach brał. Dostawało się jeszcze taki kotlecik lilowy. Zawsze pytaliśmy się, ile może być mięsa w tym kotlecie, nikt nigdy nie zgadł. Od czasu do czasu dostawaliśmy kawałek rekina, mięso wyglądało jak kawałek słoniny. Jak bardzo ucieszyliśmy się, gdy otrzymaliśmy go pierwszy raz: "To taki kawał słoniny dali? A to wziąłeś?" To taki smak miała jak trawa. Ani to do zjedzenia, ani do wyplucia, nie wiadomo co to jest. I właśnie takie jedzenie. Jak przyszedł transport żywności, to przez sześć miesięcy taka żywność była. Transport przychodził raz na sześć miesięcy. Naprzykład z rana będzie zupa owsianka, "poplujka", bo to nie płatki owsiane, tylko częściowo oczyszczony owies, ale niedokładnie, to się je i pluje. To nie jest do zjedzenia. Przez sześć miesięcy niezmiennie to samo. Ale żeby żyć, trzeba jeść. Jak dadzą coś nowego

to przez tydzień cieszą się, a po tygodniu, miesiącu czy dwóch też tego mają dosyć. Rybkę dawali, my nazywaliśmy ją "tysieczgiłowka" i "stugołowka" czyli większa i mniejsza, coś w rodzaju kłilek, ale mniejsze od nich i tylko solone. Jak to jeść? Bosman, Rosjanin, który pracował w naszej brygadzie na montażu, bardzo potądny chłop, mówi: "słuchajcie, tego nie je się normalnie jak rybę, tylko bierze się w garść i do gęby". W garść, bo najpierw kładli w miski, ale każdy zostawiał, bo nie wiedział jak zjeść, to potem stawiali jedną miskę na stole i każdy mógł sobie wziąć. Tylko, że mieliśmy tylko łyżki, więc brało się garścią. On wziął garścią i tak my zaczęliśmy jeść, bo lepiej coś zjeść niż nic. Od czasu do czasu były śledzie, później w dobrych czasach to rzucono się nimi. Nie moczone były — po prostu wyjęte z beczki i położone na talerz. I jedź to jak chcesz. Chociaż go umyć. Później niektórzy brali te śledzie i moczyli w domu, w jakiejś puszcze, problemem było mieć jakieś naczynie. Moczyli i wtedy można było zjeść, a tak były niezjadalne, zanadto soli, a picia nie było. Baraki były zamykane na noc, początkowo były zamknięte przez cały dzień, otwierane tylko na obiad, jak szło się do stołówki.

Lekarze brali nas do szpitala na odpoczynek, po prostu, jak widzieli, że dochodzimy do swojej pewnej granicy, to szybko kładli na miesiąc do szpitala, gdzie: po pierwsze nie pracował, nie przebywał w chłodzie (bo szpitale były dosyć dobrze ogrzewane), jedzenie miało podawane dosyć regularnie (nie to samo przez sześć miesięcy, ale codziennie inaczej czyli że można z tego samego zrobić coś jadalnego). Miesiąc czasu w szpitalu to dodatkowe pół roku życia. Człowiek wracał do siebie, dzięki tylko naszym lekarzom. Był u nas chirurg, właściwie był ginekologiem ale że w męskim obozie nie miał co robić, więc był chirurgiem, bardzo zdolnym. Na przykład operowanie ślepej кишки, to miejscowe znieczulenie. U niego pacjent sam ze stołu schodził i szedł na swoje wyrko. Przychodził, kładł się i musiał sam schodzić — nie było gadania. Trzy dni miał prawo "pokwękać" po operacji. Chirurg troskliwie zawsze przychodził, oglądał, ale po trzech dniach mógł normalnie chodzić, a po tygodniu mógł iść do pracy. Kiedyś przyszedł wojskowy "wracz", jak się później okazało, to nawet nie był lekarzem, a był weterynarzem i też zrobił operację ślepej кишки, to o mało nie wykończył się chłopak, bo wyszło zapalenie otrzewnej. Po raz pierwszy uspiłi, a tak chirurg uważał, że ma po co. — Czy to był Rosjanin?

To był Litwin, nie pamiętam jego nazwiska, pochodził z Kowna, ale to był fajny człowiek, bardzo sympatyczny. Bo trzeba zrozumieć, że w obozie to jest inaczej niż w normalnym życiu. W każdym z takich obozów było bardzo dużo narodowości, już sama Rosja miała ich dużo. Litwa, Łotwa, Estonia to są ci, krórczy musieli cicho siedzieć, bo za głupi. Z innych narodowości byli Niemcy, byli Francuzi. Anglicy, byli Amerykanie, chociaż tych można było najmniej się spodziewać, ale byli — niewielu. Jeden Amerykanin, którego ojciec przed rewolucją wyjechał do Ameryki i został, tutaj walczył jako lotnik i parę razy był w Rosji jako lotnik. Technik z urodzenia, mógł z małej części konstrukcji określić resztę, był fachowcem. Na tyle był głupi, że po wojnie przyjechał odwiedzić Kaukaz. Jak przyjechał to nie wrócił, trafił do obozu, bo potrafił skrytykować: "jak wy żyjecie, jak można!". No i to wystarczyło. Pokazali mu jak można. Inny wpadł w Szwajcarii. Nielegalnie przebył przez granicę jako paczka. Dużo było z Niemiec,

przerzucani przez Berlin Zachodni, i też jako paczki konsularne. Ludzie znikali, nikt nie wiedział gdzie ich szukać. Typowe. O wszystkich upomnieli się. Wpierw o Francuzów, Adenauer upomniał się o Niemców, o Polaków nikt się nie upomniał. Nie było takiego. Nawet jeśli mają odsiedzieć, to niech odsiedzą w swojej ojczyźnie.

- Chyba nie było tak źle?

Nie było źle? Ilu naszych tam zginęło! Nastawienie od razu było takie: jak Polak to pan, a jak pan to wróg. Panów trzeba "istrielit". Spotkałem się tam szczególnie z wieloma Azjatami, którzy cały czas wierzyli w Stalina do końca, nawet płakali. To było ciekawe, jak umarł Stalin to nie wiedzieliśmy o tym, że nie żyje. Z rana wszyscy zaczęli mówić, że mieli sen, że Stalin albo ciężko choruje, albo umarł. Itak kilku, jeden w mojej brygadzie był, który mówił: "wiecie co, na pewno Stalin umarł bo tak wyraźnie jakbym radia słuchał i słyszał komunikat, że umarł Stalin, a my radujemy się. I jakby była to rzeczywistość, to nie był sen". Mówimy: a skąd tu radio? "No tak, ale to było tak rzeczywiste, że napewno umarł". Przychodzimy po pracy i ogłaszają, że "batuszka" Stalin umarł. Co za radość była. Jeden drugiego całował, skakał z radości, chociaż wyrok nie zmieniał się. Uważano jednak, że to przyniesie nam ulgę i rzeczywistość przyniosło. Od razu poprawiło się wyżywienie. Nas cieszyła każda odmiana. A przecież wtedy w Rosji zaczęto zrywać pomniki Stalina, a nawet obsmarowywali je czym popadło, albo zarzucali pętlę na szyję i traktorem ściągali. Jeden siedział u nas który montując pomnik Stalina, nie miał gdzie założyć stropu i założył go na jego szyję, i ustawił. Przyszli i aresztowali go. Za co? "Jak mogłeś tak Stalina za szyję?" "To nie Stalin, to postument, muszę go tak stropić, żeby było mi go wygodnie ustawić". I siedział, dlatego że był dobrym fachowcem i nie pomyślał, że takiego przedstawiciela nie można za szyjkę brać. Nie dziwię się, że niektórzy ludzie płakali. Jedno jest pewne, a w Rosji to normalnie mówiono: albo siedział, albo siedzi, albo będzie siedział. Nie było innego wyjścia. Wszyscy musieli przez to piekło przejść. Jak ja przebywałem, w 51r., już zaczęli liczyć się z człowiekiem, był brak siły roboczej. Nie było skąd brać, na wojnie wyginęło dosyć ludzi. Zaczeli cenić ludzi, poprawiły się warunki. Jak wracałem już po zwolnieniu, to na dworcu spotkałem "faceta", który mówił: "Panie, ja tą kolej budowałem, ja przeżyłem. Proszę tylko pięć podkładów pod rząd wykopać, jeśli tam nie będzie szkieletu, to ja się kładę, tam 2-3 znajdziecie". Tak się liczyli z ludźmi. A dlaczego? Pod wpływem przestrzeni. Z prawa tundra, z lewa tundra, nie było gdzie pochować. W czasie zimy grobu nie wykopiesz, bo wieczna zmarzlina. To coś w rodzaju zmarzniętej gliny z piaskiem. Kilofem jej nie rozłupiesz, bo tyle odejdziesz ile stukniesz. Chyba beton lżej byłoby tłuc niż zmarzlinę. Kopanie było niemożliwe. Znowu latem jak do błota włożysz, to błoto człowieka wypchnie.

- Po śmierci Stalina przez łagry przeszła fala strajków. Jak to wyglądało w Workucie? Po śmierci Stalina - czy przed, ale nie, po śmierci - zażądaliśmy od razu, żeby nam zezwolono pisać do domu i otrzymywać korespondencję. Mieliśmy prawo pisać dwa razy do roku - raz na sześć miesięcy i taką samą ilość otrzymywać, to później mogliśmy otrzymywać więcej, ale pisać nie. Pracowaliśmy niby dziesięć godzin, ale jedna godzina na rozprawienie i jedna godzina na przyprowadzenie, adziesięć godzin musiało pracować.

Czyli w zasadzie człowiek dwanaście godzin pracował. Dlaczego nie osiem a dwanaście mieliśmy pracować? Inny postulat to żywność. Częściowo zgodzili się na pisanie listów, początkowo pozwolili pisać jeden miesięcznie, a potem to kto chciał pisał normalnie. Widać mieli trudności z liczeniem. Otrzymywać listy można było nie tylko od rodziny, każdy mógł napisać. Przedtem nie, osobiście podawałeś kto będzie do ciebie pisał, i te listy mogły dojść, żadne inne nie.

- Jest taka opinia, że te strajki, ponieważ wybuchły na terenie całego Związku Radzieckiego mniej więcej w tym samym czasie, że to była inspirowana sprawa. Jakie jest Pana zdanie? Nie były inspirowane. Tak jakby w szklance ma się nalane pełno, i dolewało się jeszcze jedną kroplę i jeszcze jedną, aż wszystko raptownie rozlewa się. A inspiracji nie potrzeba. Wtedy, gdy gdzieś był jeden małej wybuch, to wybuchnie wszędzie. Nie było możliwości porozumienia się. Chociaż to nie prawda. Zapominamy, że ludzie, którzy nas pilnowali z nami stykali się. W pewien sposób byli uzależnieni i już miało się dodatkowe wiadomości. A oni między sobą wiedzieli, tak że ktoś przekazywał: jeden drugiemu.

Ta fala miała jeszcze bardzo grzeczną formę, później forma była ostrzejsza, gdy nas wyrzucano z wszystkich obozów siłą poza obóz. Trzymano cały dzień, a po zrobieniu selekcji część wpuszczili do obozu a część wywieźli. Wtedy zrobili specjalną część na przykład na 7-ce, zrobiono jakby oddzielny obóz (część wywieziono w inne miejsce). Wtedy ostrzej poszło. Mieliśmy wtedy nawet wywieszony czerwony sztandar. Prawdziwa rewolucja! Warunki były niesamowite. Słyszałem, że w innych obozach udało się jeszcze bronić, u nas nie udało się. W nocy, gdy wszyscy spali przecieli w kilkunastu miejscach siatkę-zonę i wyrzucili poza obóz ludzi, około dwudziestu z automatami, w pełnym uzbrojeniu, przy najmniejszym ruchu mieli strzelać. Ale pierwszy strajk podniósł ludzi na duchu. Ja uczestniczyłem i to dobrze, bo czynnie się udzielałem. Ale chwalić Boga ani w pierwszym, ani w drugim wypadku mnie nic się nie zdarzało. Nie wiem dlaczego miałem takie szczęście? Nawet wtedy, gdy za zonę wyganiaли to stał taki drab z karabinem i każdego, który przechodził przez otwór w płocie kolbą po plecach rąbał. Stary wyszkolony sportowiec nie da się kolbą. Wybiłem karabin, ten chciał mnie łapać a karabin leży. Poleciał za karabinem, a ja zmieszałem się. Chodził chyba ze dwie godziny i szukał mnie. Jak tylko wszedłem, koledzy widzieli, od razu przebrali mnie, żeby nie poznać można było.

Czy Pan pamięta jakieś nazwiska najbardziej czynnych uczestników tego strajku?

Trudno mi powiedzieć. Nazwiska tych, których pozabierali, to bez problemu można by znaleźć. Na przykład jeden mój kolega Bogdanowicz, był mniej zaangażowany niż ja, może był większym krzykaczem niż ja, dlatego łatwiej podpadał. Trudno ocenić, bo w każdym baraku tworzył się związek bardziej rewolucyjny duchem, mniej pokorny. W większości to Polacy, Litwini, Łotysze i Estończycy nadawali ton. Rosjanie bardziej się bali. Popierali cicho wszystko ale odważnie bali się wystąpić. Raczej w nas niepokorny duch Słowian, w każdym ruchu znalazł się Polak. To takie niespokojne dusze.

Trudno mi podać nazwiska, tyle lat minęło, ja już najbliższych nie pamiętam. Siedziało się, leżało obok siebie, sądziłem, że nigdy nie zapomnę, zawsze razem, razem...

Teraz jeden w Zabrze, Miodowski. Poeta nasz, Stasik Józef w Legionowie. Któryś z was musiałby wybrać się tam do niego.

-Mówi Pan o Legionowie pod Warszawą?

Tak, tak. Karola Wielkiego, chyba sześć.

-Bardzo dziękuję.

Proszę bardzo. W tych wierszach, w zasadzie on pisał lirykę, ale dużo jest rzeczy, które można ocenić, bo pisał w tym czasie, gdy były strajki. On pisał przecież i zawsze coś napisał. Sądzę, że u niego można dużo znaleźć. Nie wiem, w zasadzie pisał lirykę, ale niektórzy piszą takie wiersze "wezwania". U niego też były, bardzo fajne wiersze pisał. Radzę się z nim skomunikować, bo on może mieć dzięki temu dużo notatek. On to wszystko wywiózł, w swoim czasie wszystko widziałem, jeszcze to miał. Może będzie jeszcze pisał. Ja mówiłem mu: "~~ty weź~~ napisz piękny pamiętnik". Radziłem, żeby napisał epopeję, tak jak Mickiewicz. "On napisać potrafił, dlaczego ty nie możesz? Czy będzie wartościowa w tym wypadku, czy nie, ale samo przeżycie trzeba opisać". Zastanawiał się, więc może napisał, ~~to~~ już dłuższy czas nie miałem z nim kontaktu.

-Wróćmy do Pana wspomnień. Zdaje się, że skończyliście w szpitalu?

W szpitalu przejściowo. chociaż raz miałem złamaną nogę, to przeleżałem w szpitalu jako chory, ale to nie było takie ważne. Opowiadam, i cały czas to wybiegam do przodu, to cofam się, bo to się przypomnie, to to. Dużo człowiek już pozapominał.

-Gdzie Pan pracował po wyjściu ze szpitala, po strajkach?

Ja kończyłem na "Czterdziestce", gdzie budowaliśmy kopalnię. Kopalnia to kilometry transporterów i uruchamianie tych transporterów. Zimą, przy 20°-30° mrozu, to prawie jest niemożliwe, niewykonalne. My to wykonaliśmy. Przyjechali z "odbioru", z Moskwy-delegacja-odbierać tę kopalnię. Nikogo nie wypuscili do pracy, byli tylko ci najbardziej potrzebni. Każdy miał odcinek, którego pilnował. Podchodzi do nas delegacja i tam jedna kobieta mówi: "jakim cudem udało się wam uruchomić taśmę przy takim mrozie, przecież to niemożliwe. Wy prawdziwi komsomolcy jesteście!" Wtedy my się rozśmialiśmy, że jacy my komsomolcy, że my z wyrokiem po 25 lat jesteśmy, a nie komsomolcy.

To wielkie oczy zrobili, bo im powiedzieli, że komsomolcy. Potem miałem jako komsomolec budować elektrownie na Amurze. Dzięki dyrektorowi, który nas zatrudnił, chociaż nie miał zatrudnienia, przeczekał ten okres, kiedy mieli zabrać. Stuleciu pięćdziesięciu innych zabrali "komsomolców" Amur budować. Na Amurze, słynną tę elektrownię Bracką-komsomolską, nasi budowali, "komsomolcy" z wyrokami. Prawdziwi komsomolcy, pionierzy to wszędzie ich wpakowali, gdzie mogli tylko.

Po budowie "czterdziestki" przerzucono nas na budowę elektrowni ~~★ Kere.~~ ^{TEC}. Stąd mam właśnie najwięcej wrażeń, bo właśnie Stalin umarł, tu były te dwa strajki (jeden to nawet bardzo ostry). Później, po ostatnim strajku dostawaliśmy przepustki i mogliśmy wyjść za zonę na cztery godziny. Potem niektórym zezwalali na zamieszkanie za zoną. Ja też parę miesięcy mieszkałem za zoną. A to była wygoda, bo tak otrzymywaliśmy pracując dwadzieścia pięć rubli, jeżeli nawet więcej zapłacono nam, to odkładano na książeczkę, "na ręce" nie otrzymywaliśmy. Jak byliśmy za zoną, czyli na własnym wyżywieniu dawali siedemdziesiąt pięć rubli.

Przyjazd komisji Wschodniego Związku - wszystkich nas sprawdzono. Musiałeś ubrać się, ogolić, i kilkunastu czy kilku prowadzono do sali. Tam wzywano i normalnie musiałeś odpowiadać. Oni mieli dokładne teczki. Zdziwiony byłem jak zobaczyłem swoją teczkę. To była gruba teka na stole (nie szkodzi, że na stole, bo to mogła być atrapa), w dodatku ci, którzy pytali mnie zadawali pytania byli dobrze zorientowani, więc musieli to przeczytać. Zadawali nawet takie pytania, czy byłem bity w czasie śledztwa, czy były wymuszone zeznania. Udałem bardzo niewinnego chłopaczka, zastraszonego: jak kazali to mówiłem, co chcieli to powiedziałem. Dla mnie było to zaskoczeniem, każdy raczej musiał mówić to co im się podobało.

Potem komisja pojechała i zaczęło przychodzić, to tego zwolnienie, to tego, a niektórym z miejsca za zoną pozwolili mieszkać. Zaczęły się pewne ulgi. Który to był rok? No to właśnie już 56 rok, bo to w lutym czy marcu przyjechała ta komisja, właśnie ten luz się zaczął. Człowiek już miał nadzieję, bo gdy kolega wyjechał i po paru tygodniach czy miesiącu dostawało się list od niego, że jest wolny. A umawialiśmy się co ma napisać, żeby wiedzieć czy naprawdę jest wolny, czy wszystko odbyło się tak jak było zapowiedziane.

Wszystko okazuje się było "okey". Przecież ja i tak nie bardzo im wierzyłem. Miałem doświadczenie z moim ojcem, że pięć lat odsiedział, był zdrowy i zginął. Nie wiem gdzie przepadł, gdzie zginął. Chyba już nie żyje, bo to przecież "drugi" rocznik, to może nie żyć, ma prawo, swoje lata. Ale nie wiem Jak mnie pan zapytał, kto nami dowodził, przypomniałem sobie, że w czasie śledztwa to pytanie było od rana do wieczora i jeszcze w nocy. "Wkurzyło" mnie to, postanowiłem zagrać i powiedziałem: "ojciec". Trzy dni nie wzywali mnie na śledztwo. Odpocząłem. Po trzech dniach przyszli i mówią: "To nie mógł ojciec". "A co, nie żyje?" "Żyje". "To dlaczego nie mógł?" "No bo nie". Połapał się, że to ja pociągnąłem go za język i nic więcej nie chciał powiedzieć. Do tej pory wiem tylko tyle, że żył jeszcze, gdy mnie aresztowano. Mieli widać jakieś dane gdzie jest, ale nie wiem. Wypytywałem go, ciągnąłem za język na różny sposób, niczego się nie dowiedziałem, tylko tyle, że jeszcze żył a to znaczyło, że mieli dojście do niego. Później mama zrobiła poszukiwania, bez odpowiedzi. Jak wyjeżdżała, a nie można rozdzielać rodziny, mówi: "co jest z mężem, czy umarł czy co?" To przyszła odpowiedź, że mogą dać "rost.", że nie umarł, a że mogą dać "rost." Dlatego baliśmy się, że ci co zwolnieni, na krótki czas się zwolnią i wrócą z powrotem.

Zresztą tak było ze mną. Jadąc z Workuty dojechałem do konsulatu w Moskwie i wszystkie papiery na wyjazd do Polski wyrobiłem od "ręki", tylko wsiadać i jechać. Przyjechałem do Wilna. Tam była matka moja i jeszcze moja siostra. Porozmawiałem po cichu a szczerze i wszystkim rozgłosiłem, że będę wyjeżdżał dopiero w kwietniu czy czerwcu po swoich imieninach, bo wtedy ciepło będzie. Dlatego wtedy wolę wyjechać. Sam zacząłem robić starania o wyjazd. Przez koleżankę mamy załatwiłem osobę, która wykupiła bilet na lotnisku na lot samolotem do Polski, bo trzeba wiedzieć, że wszystko jest kontrolowane, a ja wiedziałem, że będę szczególnie kontrolowany. Musiałem to zrobić inaczej. Podstawiliśmy więc kobietę, która miała prawo na wyjazd tam, jechała w odwiedziny, i wykupiła bilet - a trzeba co najmniej miesiąc wcześniej bilet wykupić - i na dzień przed odlotem zrezygnowała z powodu stanu zdrowia, a że ja byłem na liście

z miejsca ten bilet dostałem, i już było w porządku. Do MGB to nie poszło, ponieważ kasjerka nie zda w tym samym dniu. Miałem trochę pecha. Siedemnastego stycznia miałem odlot, jestem na lotnisku a tu samolot nie odlatuje - Warszawa nie przyjmuje ze względu na mgłę, na stan pogody. Osiemnastego - Warszawa nie przyjmuje ze względu na stan pogody. Liczyłem, że mam najwyżej dwa dni, póki nie dotrze do nich z kasy, że ja na tym bilecie pojechałem. Już czułem się zagrożony. Wtedy przyleciał nasz pilot z Moskwy i mówi, że ze względu na zły stan pogody nie odlatujemy, może jutro poprawi się. To już dziewiętnastego, już nie ma co. Podeszłem do tego pilota i prosto naświetliłem mu sprawę, że jeżeli jutro mamy odlecieć to nie wiem, czy nie beze mnie odleciecie. Popatrzył dobrze i poszedł do kapitana. Po dziesięciu-piętnastu minutach wyszedł: "Odlatujemy" ~~A~~ do mnie: "Gdzie masz bagaż?" "Tę tylko walizkę". Ludzie zaczęli się pytać: "Przecież Warszawa nie przyjmuje?" W Polsce nie jedno jest lotnisko, nie tylko Warszawa, mamy kilka jeszcze dodatkowych lotnisk. I rzeczywiście Warszawa nas nie przyjęła. I takim cudem przyjechałem, dziewiętnastego stycznia stamtąd wyjechałem. A w lutym przyszli mnie aresztować i otrzymuję list od matki, w którym pisze: "nie wiem, płakałam i cieszyłam się, śmiałam się, bo przyszli ciebie aresztować. Cieszyłam się, że ich wszystkich wykiwałeś i wyjechałeś. A płakałam, że nadal ciebie prześladują". Można było liczyć się z tym. Widać jest jeszcze jakaś ^{tr}Oporność w Niebie, która kieruje naszymi krokami i losami, że udało mi się z tego "raju" uciec. Bo nie wiem czy do tej pory jeszcze bym żył, może tak samo zginąłbym, jak ojciec. Później, jak rozmawiałem z tymi, którzy byli w tym samym obozie, to opowiadali, że z ich obozu małą grupkę zabrali i przysłali na Workutę a resztę obozu na jakieś Min⁴ę. Sądzieli, że to na mineralne wody (a więc Kaukaz) i tyle wiedzieli. A Min⁴ę mieścił się między Uchtą a Workutą. Był to całkowicie zamknięty obóz, nie można było pisać. Oprócz normalnego drutu miał jeszcze około dwunastu metrów błot, normalnie błot. Co tam robiono nikt nie wie. Boję się, że tam trafili. Nie wiem, u nich wszystko możliwe.

-Czy po powrocie miał Pan jakieś spotkania z władzami PRL-u?

Nie. Miałem tylko z nielegalnymi. Wycofałem się. Zdziwiony byłem. Konspiracja wymaga, żeby nie brać ludzi, którzy czymś podpadli. Przecież wiadomo, że będą

na kontroli. Dlaczego zwrócili się do mnie, tego nie wiem. Zwrócili się o dalszą współpracę. Powiedziałem: "wiecie co, odwagi waszej wam nie brakuje ale rozsądku brakuje". Od naszych nic nie miałem, tyle tylko, że dokumenty moje tutaj w UB. W Polsce to inaczej jednak człowiek się czuje. Tam jednak nie mogłem uważać ich za przyjaciół, jak tutaj uważałem, że bracia, przyjaciele. To był taki sam wróg jak Niemiec. Tyle samo zabrał w 1939 roku kraju naszego co i Niemcy. A czy zginęło mniej ludzi? Niech weźmiemy sam Katyń. Wie pan co, że ja wiedziałem będąc w obozie, gdzie są pochowani, te piętnaście tysięcy. Ludzie - Rosjanie, gdy weszła rozmowa kiedyś na temat Katynia mówili o jednej trzeciej. Zdziwiony byłem, gdzie reszta? A w Wiaźmie część, część w Archangielsku zamordowana. A o tych co nad Białym Morzem zamordowali dowiedziałem się wcześniej. Zrobili obóz na Nowej Ziemi i tam mieli ich przewieźć, ale coś ostatnio przeszło, i wywieźli ich statkami, barkami i chcieli zatopić. Ale tamci zorientowali się, wtedy zamknęli kingstony i zaczęli strzelać po barkach. I zatopili barki strzelając. Skąd dowiedziałem się? Od kilku osób z tamtego okręgu. Chyba za to siedzieli, że wiedzieli. Opowiadali, że dłuższy czas morze wyrzucało topielców. Zaczęli mówić: "Wasi oficerowie mieli bardzo dobre sukno na płaszcze". Nie mogliśmy "kapnąć" się o jakie sukno chodzi, gdzie je widzieli. Okazuje się, że to czarne. A przecież tylko milicja miała czarne i może jakaś żandarmeria, a tak nikt. Ciała wyrzucane były w płaszczech. Płaszcze zciągali nim złosili i szyli sobie z nich kurtki, które do dzisiejszego dnia noszą. Takie - mówią - sukno nie do zdarcia. Tak, że o tym wiedziałem, ale że Wiaźma to byłem zaskoczony. Skąd Wiaźma? Dowiedziałem się o tym od takiego człowieka, którego zaliczałem w obozie do wrogów. Wielkie zaskoczenie. Tak, że proszę A ile wywiezionych, tych normalnych ludzi. Do tej pory liczymy, że około dwóch milionów było. Przecież tyle wojska nie straciliśmy walcząc z Niemcami, a tu w ciągu bardzo krótkiego czasu: 39-41 rok, tyle potrafili wymordować. Pamiętam jak Niemcy wchodzili i udostępnili więzienia. Ja nie pojechałem, bo za mały byłem i nie pozwolili, ale rodzice pojechali. Pojechali wszyscy, którzy szukali tam swych rodzin. W tych miejscowościach, gdzie ja byłem to studnie były zawałone ludzmi, wydobywano ich. To znowu całe piwnice i podpalony dom, żeby się spaliło. Przecież to ginęły miliony niewinnych ludzi.

Okazało się, że jak się wycofywali a nie zdążyli ich zabrać, to wszystkich rozstrzeliwali. Trudno mówić o przyjaźni, jeżeli wie się o takich rzeczach. Dopiero można mówić o przyjaźni, gdyby zostali ukarani. Przecież ci, którzy rozstrzeliwali żyją nadal. Po co naszych oficerów, marynarów sądzili, trzymali, donosili (donosiciele są najgorsi). Żyją i dobrze im się powodzi, i to mnie właśnie boli. Niech osądzą. Jakaś kara musi na nich być. Przecież polecenia Stalina tak, ale przecież wykonując polecenie, wykonuję go z pewną dozą umiaru, nie przesadzając. Przecież niektórzy wysługiwali się. Nasze rządy niby nie chciały tego ale same proponowały. Niech nie mówią, że zmuszano ich. To im odpowiadało. Wiedział ten kto przeszedł te obozy. Ja miałem to szczęście, przeszedłem to piekło, ale tylko sześć lat. Moi koledzy, których wcześniej aresztowali za AK wiedzieli, za co byli winni; że walczyli z Niemcami, że potem chcieli iść wspomóc walczącą Warszawę i wszystkich w Miednikach okrążyli czołgami i zmusili do poddania. Wywieźli do Kaługi i do innych obozów. Tam, gdzie my zamieszkaliśmy w Wilnie, to ich syn wrócił z Kaługi. Mieli złożone papiery na repatriację i po roku, gdy syn wrócił to wyjechali. Uczyłem się potem w szkole z ^{tych} ~~imi~~, którzy byli w AK. Prawie chłopcy pod wąsem, a musieli się uczyć ~~prawie~~ z dziećmi. Jednak chcieli i musieli kończyć szkołę. Kolegów więc miałem naocznych świadków, a że mieli taki podatny grunt, jak mnie, to mówili jak było rzeczywiście. Nie potrzebowali owijać w bawełnę. Jeśli chodzi o Workutę, to tam ludzie sporo zdrowia stracili, bo głód, bo chłód, komary. Ja byłem już w czasie, gdy zaczęli cenić człowieka. Nie było łatwego dopływu. Musieli się liczyć, że mogą przywieźć transport stu osób, dziesięciu osób czy dwudziestu, a nie tysiące jak wpierw, przecież przywozili tysiące. Ogradzali drutami, kołkami pole i jak chcesz żyj! - Jak Pan ocenia, jaki procent przeżył w tym okresie kiedy Pan był? Jeśli chodzi o ten okres kiedy ja byłem, to przeżył duży procent, ten 1951r. Ale ci, którzy byli przed wojną, to znaczy 39, 40, 41 rok, i zaraz po wojnie- 1945r., to nie wiem czy 10% zostało (z tych z 39, 40, 41r.). Po wojnie to nawet z 50% przeżyło, a już dalej to z każdym rokiem było lepiej. Na początku, jak przyjechałem tę "czterdziestkę" budować, to przyjechała ekipa, pobudowała baraki i wchodziło się już do baraków. A teraz proszę sobie wyobrazić ileś

tysięcy osób i tylko kołki wbite. Nie można przekraczać drogi, bo będą strzelać, i życie bez baraków, bez niczego. Jeden był tylko baraczek, dla straży. To kopali i żyli w śniegu, a w tym czasie zaczęto budować baraki. Budowali też baraki, w których mieli zamieszkać.

Mówią, że Karaganda i inne to były bardzo ciężkie obozy, na pewno. Na przykład Karaganda, latem może być 50° ciepła ale zimą do 50° mrozu. A tutaj jednym o czym można było marzyć to był mróz. W listopadzie, jak zaczynała się noc to była przez cały czas noc. Mam książkę, którą "zwinąłem" z obozu, bo na niej znalazłem, czego gdzie indziej nie mogłem spotkać, trochę danych o tych właśnie sieniach. W rosyjskiej literaturze nigdzie nie można przecież znaleźć. Nie wiem skąd to trafiło i ja to znalazłem, ale w bibliotekach takich rzeczy nie było. Z przesadną ostrożnością żadnej mapy nie było prawidłowej. Sami siebie wprowadzali w błąd, nie wiem po co.

Nagranie przeprowadzone z p. Władysławem Miglinem w Gdańsku 23 lipca 1989r.
Nagrywał J. Hasse.